

Rozdział 6 Burza na morzu

Statek drgnął. Trap usunięto po wkroczeniu na pokład uprzejmego marynarza, który jako ostatni opuścił ład stały, a teraz powoli i cicho okręt zaczął oddalać się od nadbrzeża. Hudson sam tylko stał na pokładzie, żegnając ręką grupkę ludzi, którzy stali patrząc na jego odjazd. Jego wzrok był utkwiony w matkę. Droga, słodka, dzielna mateczka! Ona bardzo usilnie starała się okazać mężną, ale gdy tam, na dole, w jego kabinie, delikatnie poprawiała pościel na hamaku, zauważył na jej policzkach łzy... A teraz, gdy powiedziała po raz ostatni "Żegnaj!" i puściła okręt, musiała prędko usiąść na kawałku starego drewna, gdyż zdawało się, że zemdleje. Hudson raz jeszcze biegł ku niej po trapie, aby ją pocieszyć i serdecznie ucałować

"Nie płacz, mamusiu droga" powiedział, "to rozstanie nie będzie trwało długo. Spotkamy się znowu..." Ale musiał pośpieszyć z powrotem na pokład i zastawić ją. Teraz stała, szeroka jej spódnica powiewała na wietrze, a chusteczką, którą trzymała w ręku, machała ku niemu. Hudson, pragnąc ją widzieć lepiej i jak najdłużej, naraz się odwrócił i wspiał na maszt. Stojąc na takielunku pomiędzy kołyszącymi się linami, mocno się chwycił jedną ręką masztu, a drugą energicznie wymachiwał swoim kapeluszem. Może ją to pocieszy, gdy go zobaczy w takiej pozycji! Wysoko nad jego głową żagle zaczynały szumieć na wietrze, a maszty zaczęły skrzypieć, okręt zbliżał się do wyjścia z portu. Ukochana postać na brzegu wyglądała coraz mniejsza, a jej mała powiewająca na wietrze chusteczka stawiała się coraz bardziej podobna do małej białej mgiełki...

"Oh-h-h!" Na dźwięk tego przeszywającego serce krzyku, Hudson przestał machać kapeluszem - to jego matka tak krzyknęła! Okręt przejeżdżał w tym momencie przez bramę portową, wychodząc na pełne morze i zbierając jej jedyne go syna do nieznanego dalekiego kraju - do Chin! To było rzeczywiście pożegnaniem na zawsze! Boleść tego krzyku przeniknęła serce Hudsona jak nóż. Jak wiele ją to kosztowało! Ona cierpiała o wiele więcej od niego! Coś go ścisnęło mocno za gardło, a okręt rozwijał coraz większą szybkość, tak że Hudson nie mógł już więcej rozeznaczyć maleńkich postaci stojących na końcu nadbrzeża. Wyteżał wzrok, starając się dojrzeć coś poprzez mgliste powietrze, aż wreszcie zdał sobie sprawę z tego, że ich już więcej widzieć nie może i powoli zesunął się z powrotem na pokład., przy czym krzyk matki i brzmiał mu stale w uszach. Ale serce jego zaczęło opanowywać z kolei inna myśl: Jeśli widok syna opuszczającego ją, aby się udać do Chin, sprawiał tak ogromny ból jego matce, to jak bardzo musiał cierpieć Bóg, gdy się musiał rozstawać ze Swoim Synem, Jezusem, gdy ten udawał się na Ziemię, aby umrzeć za grzechy ludzkie? Czyż Bóg nie był Ojcem? Czyż Jezus nie był Jego jednorodzonem Synem? I tak w jakiś dziwny sposób poświęcenie, jakie musiał ponieść i on i jego matka, a które sprawiło im tak wielki ból serca, wydawało się przybliżać go bardziej jeszcze do Boga i lepiej jeszcze zaczął rozumieć, jakie znaczenie miało słowo "Miłość Boża". Bóg miłował, a więc wiedział również co to znaczy cierpieć w ten sposób! Hudson poczuł się więc dziwnie posilony - i to pomimo ogromnego bólu serca. Po chwili udał się do swej kabiny.

Był on jedynym pasażerem na pokładzie "Dumfries", maleńkiego statku o wyporności zaledwie 40 ton i powiedziano mu, że będzie to trwało pięć do sześciu miesięcy zanim osiągną Szanghaj. W tym czasie - bo jest rok 1853 - nie było jeszcze Kanału Sueskiego i dlatego mały stateczek musiał dzielnie stawiać czoło falom rozbijającym się o Przylądek Dobrej Nadziei i burzom szalejącym na Pacyfiku, zdążając do portów Dalekiego Wschodu. Tak więc Hudson miał przed sobą długą, bardzo długą podróż morską, a okazało się, że już pierwszych dziesięć dni dostarczą mu dostateczną ilość wrażeń i niebezpiecznych przygód, aby mu wystarczyło na całą resztę jazdy! Albowiem gdy tylko "Dumfries" dostał się na wody Kanału Irlandzkiego,

napotkał na straszliwą burzę, która sprawiła, że stateczek ten przez kilka dni z rzędu ciskany był po morzu jak mały kawałek korka. Siła wichury była potężna - Hudson jeszcze nigdy w życiu czegoś podobnego nie widział, dlatego też bardzo prędko skorygował wszelkie romantyczne poglądy, które dotąd posiadał, jeśli chodzi o zawód marynarza... Drewno okrętu trzeszczało i jak gdyby jęczało, woda morska wdzierając się nawet i do kabin, odzież jego była ciałkiem mokra i lepiła się do ciała, a burza w miarę jak mijały dni i noce, zdawała się raczej coraz bardziej potęgować w swojej wściekłości, aż wreszcie w niedzielę po południu morze stało się podobne do ogromnych pasm górskich i Hudson z największym trudem wdrapał się na pokład i trzymając się z całej siły burty okrętu, przyglądał się dzikiej scenerii rozszalałego żywiołu. Morze było całe białe od piany, a fale podobne do groźnych olbrzymów skalnych raz po raz przybliżały się do maleńkiego okrętu i zdawało się, że go roztrzaskają - choć stateczek wpadał w nie, jakoś mu się udawało przemknąć przez kipiące wody. Hudson miał wrażenie, że każda następna fala dokona już dzieła powalenia i pogrążenia w wodnych odmętach ich okrętu, który nachylał się raz po raz, pod bardzo niebezpiecznym kątem. Jego nogi rozjeżdżały po śliskich deskach pokładu i z największym trudem zachowywał równowagę, podczas gdy statek wdierał się niepewnie na wierzch jednej wodnej góry po drugiej tylko po to, aby po chwili zniknąć w przepastnej głębinie, gdy fala mijała. Patrząc na szalejące morze zauważył przed sobą jeszcze inny duży okręt, również odbierający potężne ciosy ze strony rozszalałych fal i wichru, i jeszcze jeden mniejszy statek. Jakżeż bezsilni byli wszyscy, jakże zupełnie bezradni wobec niebezpieczeństwa, że wichur spowoduje zderzenie! Kapitan stał tuż obok niego. Na jego twarzy można było spostrzec skupienie, a zarazem głęboki niepokój. I on przyznał, że nigdy jeszcze nie widział bardziej wzburzonego morza. I "Jeśli Bóg nam nie pomoże", dodał z wielką powagą w głosie, "to nie ma żadnej nadziei". "Jak daleko jesteśmy od wybrzeży Walii?" zapytał Hudson. Wiedział o tym, że wybrzeże Walii ze swoimi ogromnymi skałami sięgającymi daleko w głąb morza, jest szczególnie niebezpieczne.

"Piętnaście, względnie szesnaście mil..." Okręt jednak dryfował właśnie w tym kierunku, co powodował silny wi-cher dmący od zachodu. "Musimy rozpiąć więcej żagla, gdyż im więcej będziemy mieli rozpiętych żagli, tym mniej będzie-my dryfować. Oby Bóg dał, aby maszty to zniosły..." A co się stanie, jeśli pod napojem wichru się złamią? Ale trzeba było zaryzykować. Chodziło tutaj o ich życie. Kapitan dał rozkaz wciągnięcia na maszt dwóch żagli.

Z chwilą gdy wiatr uderzył w żagle, okręt popędził do przodu z jeszcze większą szybkością. Pędził położony zupełnie na burtę, tak że chwilami fale przelewały się przez przedni pokład. Nadchodził wieczór, ściemniało się - najwidoczniej gdzieś tam, za grubymi zwałami chmur słońce chowało się pod horyzontem. Hudson przyglądał się temu wszystkiemu z największą powagą.

"Jutro ty, słoneczko miłe, wejdiesz jak zwykle", po-myślał, odczuwając dramatyczną sytuację, "ale jeśli nie sta-nie się cud, to nie pozostanie po nas nic więcej jak tylko kilka szczątków rozbitego okrętu i kilka desek pływających po falach..." Jakżeż jego rodzina by się strasznie smuciła, gdyby utonął! I jaką stratą materialną byłoby to dla Towarzystwa Ewangelizacyjnego Chin, które wydało na opłacenie jego kosztów podróży i ekwipunku około sto funtów! A jakie to będzie uczucie, to ostateczne zmaganie się z szalejącym ży-wiołem, zanim ostatecznie fale nie zamkną się nad jego głową? Była to raczej melancholijna refleksja. Hudsonowi zrobiło się zimno i czuł się bardzo osamotniany i przestraszony, w miarę gdy robiło się coraz ciemniej, przy czym wiatr ry-czał nieustannie, a w twarz jego uderzała ustawicznie słona piana. Dlatego też z trudem przedostał się z powrotem do ko-rytarza okrętu i wreszcie do swojej kabiny. Wziąwszy do ręki swój śpiewnik i Biblię, usiadł na swoim hamaku i zaczął czytać.

"Niechaj się nie trwoży serce wasze; wiercie w Boga i we mnie wiercie..." Te dobrze mu znane słowa tchnęły takim pokojem, że po chwili i jego serce poczuło się spokoj-niejsze. Czytał jeszcze dalej przez

chwilę, ale oczy zmęczone czytaniem przy niepewnym świetle kołyszącej się latarni, za-częły odmawiać posłuszeństwa, a więc Hudson rzucił się na hamak i zasnął.

Gdy się obudził, zbliżała się północ. Okręt wciąż jeszcze się gwałtownie kołysał, a fale huczały. Jak też daleko byli w tej chwili od lądu i od owych niebezpiecznych skał? Hudson ponownie udał się na pokład. Wyteżając wzrok, naraz zobaczył w oddali jakieś światło. Była to latarnia morska Holy-head, wysyłająca ostrzegawcze sygnały do wszystkich okrętów, które by się przybliżały na zbyt niebezpieczną odległość. Latarnia morska Holyhead - a pod nią te skały...

"Czy uda się nam minąć je?" krzyknął do kapitana, przy czym wicher omal zupełnie nie zagłuszył jego głosu.

"Jeśli nie zboczymy, to może nam się akurat uda!" krzyknął w odpowiedzi kapitan. "Ale jeśli jeszcze trochę zdryfujemy, to niech Bóg nam pomoże..." I jednak zdryfowali. Zupełnie bezsilni, oczy swe utkwiły w świetle, do którego co-raz bardziej się zbliżali. Ile czasu potrwa, zanim, dryfując w ten sposób, okręt ich znajdzie się przy tych skalach, na któ-rych ta latarnia morska została zbudowana?

"Czy mamy jeszcze dwie godziny czasu?" krzyczał Hudson. "Prawdopodobnie mniej niż dwie godziny..." brzmiała od-powiedź.

Hudson zszedł do swojej kabiny, a do oczu jego napłynęły łzy, gdy pomyślał o swoim ojcu, swojej matce, o swoich siostrach. Już nigdy nie miał ich zobaczyć tutaj na ziemi! Jakżeż straszny będzie ich smutek, gdy po nim zupełnie zniknie ślad po zatonięciu okrętu! Wyjął z kieszeni swój no-tatnik i starannie napisał na nim swoje imię i nazwisko, aby na wypadek, gdyby ktoś odnalazł jego ciało, można było w ten sposób je zidentyfikować. Gdy ten środek ostrożności został już powzięty, zaczął jeszcze raz oglądać się za sposobem uratowania się przed śmiercią w wodnej otchłani. Nie wyrzekł się bowiem nadziei ocalenia. Zobaczywszy jakiś duży kosz, zaraz pomyślał, że może ten przedmiot będzie się utrzymywał na wodzie, wziął go więc ze sobą na pokład i postanowił trzy-mać się go mocno na wypadek gdyby okręt zatonął. Do tego kosza uprzednio jeszcze włożył kilka najpotrzebniejszych przedmiotów, które by mu się przydały, gdyby mu się udało wydostać na brzeg. Nie było to rzeczą łatwą - wyjść na po-kład z tym koszem, ale gdy się wreszcie znalazł na pokładzie, była noc, ale księżyc przebił się przez chmury i przy jego świetle mógł zupełnie wyraźnie dostrzec leżący przed nimi skalisty brzeg, od którego dzieliło ich zaledwie kilkaset me-trów białej od piany wody morskiej.

Przez cały czas Hudson trwał w modlitwie. Stwierdził, że było rzeczą niemożliwą niemal formułować jakieś konkretne zdania, gdyż umysł jego był ogromnie wzburzony, ale coś w jego duszy nieustannie - choć bez słów - krzyczało do Boga, ich Ojca, błagając Go o uratowanie ich życia.

"Czy łódzie ratunkowe utrzymają się na tak wzburzonym morzu?" zapytał wreszcie kapitana, dziwiąc się, że ich nie opuszczają na wodę.

"Nie..." "A czy nie moglibyśmy związać kilku belek i zrobić z nich coś w rodzaju tratwy?" zaproponował jeszcze Hudson.

"Na to nie ma czasu..." Kapitan wykonał zdecydowany ruch, tak jak gdyby w tym momencie powziął jakąś ważną decyzję.

"Musimy za wszelką cenę spróbować zmienić kierunek okrętu - albo też wszystko stracone", powiedział

Wydawało się, że okręt zdąży wprost w kierunku lądu, leżącego tuż przed nimi. "Będziemy musieli obrócić żagle wprost pod wiatr... Morze jest w stanie co prawda zdruzgotać nam pokład w momencie wykonywania tego manewru i zmieść wszystko za burty... ale musimy spróbować!" i natychmiast wydał odpowiednie rozkazy. Ale i ten wysiłek, aby spowodować zwrot i oddalić się od brzegu - nie powiódł się. Potęga wichru i fal była zbyt wielka. Kapitan zrobił więc jeszcze jedną desperacką próbę, aby okręt skierować w przeciwnym kierunku. Znaczyło to, że mieli się znaleźć w bardzo groźnym pobliżu skał, ale wobec ogromnej szybkości, jaką posiadał statek przy pełnych żaglach a potężnej wichurze, istniała szansa, że może im się uda przejechać obok skał i je szczęśliwie minąć. Oczywiście wszystkie były skierowane na te skały, o które z głośnym łomotem rozbijały się fale, rozpryskując się i zmieniając na kipiącą pianę tryskającą na wile metrów w górę. Uda się okrętowi przejechać mimo? Odległość od skał wynosiła już tylko zaledwie dwie długości statku i jeśli temu małemu okrętowi nie uda się utrzymać swego kierunku, to za kilka minut rozbije się na drobne kawałki. Z zapartym tchem Hudson patrzył na to, co się dzieje, trzymając się kurczowo t.akielunku okrętu, który gwałtownie się kołysał ciskany falami, przez które jednak się dzielnie przedzierał. Mijali skały! Już mijali - minęli!... A teraz, byle tylko mogli odbić choć trochę, aby skierować się w kierunku otwartego morza i oddalić się od groźnego brzegu, to może jeszcze zostaną ocaleni!...

I tak właśnie się stało. Wicher, który dotąd uderzał w nich tak bezlitośnie, w tym momencie zmienił kierunek odrobinę - na ich korzyść. Zmiana kierunku była wprawdzie minimalna - wynosiła zaledwie dwa stopnie, ale to wystarczyło, aby ich nareszcie oddalić od niebezpiecznego wybrzeża. Gdy wzeszło słońce w poniedziałek rano, oświeciło - nie tak jak się Hudson obawiał - kilka pływających po morzu szczątków rozbitego okrętu, lecz piękny mały stateczek, z bohatersko podniesionymi żaglami, pędzący w kierunku otwartego morza!